Rok II. 1. stycznia 1928. Nr. 1.

MÓJ ŚWIATEK

Dwutygodnik dla dziewczynek.

Dodatek do Nr. 1 „DZIŚ i JUTRO".



ODDAJMY JEZUSOWI SERDUSZKA.

OBRAZEK SCENICZNY W JEDNEJ ODSŁONIE.

OSOBY:

1. Dzieciątko Jezus,
2. Matka Boska
3. Aniołek I-szy
4. „ II-gi
5. „ III-ci
6. Dziewczynka.
7. Chłopczyk I
8. „ II
9. „ III

Kilku aniołków dla dekoracji

SCENA I.

(*Scena przedstawia izdebkę w domku nazaretańskim. Wprost sceny okno, z boku drzwi. Matka Boska wsparta o framugę okna, śpi. Dzieciątko Jezus siedzi przy Niej na ziemi i wiążąc krzyżyk z patyczków, śpiewa cichutko na nutę „Lulajże Jezuniu"*):

Dz. Jezus: Lulajże Matuniu, moja perełko, — Lulajże najmilsze me pieścidełko, — Lulajże Matuniu, lulajże, lulaj; (bis). (*Wbiega Aniołek I*).

SCENA II.

(*ciż i Aniołek I*).

Dz. Jezus (*szeptem, z palcem na ustach*): Cyt, Aniołku mój bialusi, — Nie zbudźże mojej Matusi, — Pracą zbyt się utrudziła, — Niech odpocznie Matuś miła...

Aniołek I (*siada na ziemi koło Dzieciątka Jezus i wpatruje się w Nie*): O, cichutko tu usiędę — I na Ciebie patrzeć będę — Słodki Panie mój!

Dz. Jezus (*po chwili*): Błogosławieni serca czystego, — Albowiem łaska ta jest im dana,-- Że patrzeć mogą w oblicze Pana Swojego. (*Za sceną słychać zbliżający się śpiew*).

Śpiew za sceną (*refren z „Przybieżeli do Betleem Pasterze"*): — Chwała na wysokości, — Chwała na wysokości, — A pokój na ziemi!". (*Wpadają dwaj Aniołkowie*).

SCENA III.

(*Ciż i Aniołek II i III*).

Aniołek II (*przyklęka*): Dowiedzieliśmy się Boże, — Ze Matusia Twa znużona, — Sen utulił ją w ramiona, — Samemu Ci smutno może?

Aniołek III: Zaraz zaczęliśmy radzić, — Jakby Ciebie tu zabawić.

Aniołek II: I przyjemność Tobie sprawić.

Aniołek III (*nieśmiało*): Więc Ci chcemy przyprowadzić, — Każdy anioł dziecię swoje, — Żeby Ciebie przywitało — I swe dary Tobie dało, spojrzeć mogło w lica Twoje.

Dz. Jezus (*z radością*): O, niech przyjdą tutaj dzieci! — Niech im trwoga serc nie pęta, Jeśli im niewinność święta — W ich serduszkach jasno świeci. — Bo kto duszy swojej strzeże, — Kto ją chowa czystą, białą, — Niech do Boga idzie śmiało, — Niechże idzie prosto, szczerze.

Aniołek III (*ku drzwiom*): Pójdźcie dziatki tu do Pana, — Maleńcy pójdźcie poddani, — Dary Mu oddajcie w dani — I padnijcie na kolana. (*Wchodzi 4 dzieci i kilka aniołków, którzy oddają głęboki ukłon Dzieciątku Jezus. Matka Boska budzi się i przypatruje się w milczeniu*).

SCENA IV.

(*Ciż i dzieci z aniołkami*).

Chłopczyk I (*przyklęka, trzymając konika drewnianego*): Weź konika tego Panie. — Takie mnóstwo mam ja cacek, — Piłki, kręgle, gry, pajacyk, — Że i dla mnie też zostanie.

Dziewczynka (*przyklęka z lalką*): A ja, Maleńki Jezusie, — Zabawek mam tak niewiele, — Ale się z Tobą podzielę. (*Podaje lalkę*). — O, weź tę moją lalusię!

Chłopczyk II (*przyklęka z jabłkiem*): Pajaca nie mam, ani też konika, — Zabawek żadnych, żadnego grosika, — Tylko to jedno — (*pokazuje jabłko*) — O, weź to jabłuszko!

Chłopczyk III (*zbliża się nieśmiało z pustemi rękami*): A ja Ci Jezu, oddaję serduszko, — Choć tak ubogi jestem i mały, — Weź me serduszko! Weź skarb mój cały. — (*Po chwili*): Ja Ciebie kocham, kocham mój Panie! — I więcej dać Ci nie jestem w stanie...

(*Dzieciątko Jezus, które każde z dzieci całowało w milczeniu w główkę, tego chłopczyka przygarnia do siebie i tuli długo do Boskiego Swego serduszka, a następnie prowadzi go do Matki Najśw.*).

Dz. Jezus (*do Matki Boskiej*): On mnie ukochał gorąco i szczerze, — On mi serduszko swe oddał w ofierze — I co miał, wszystko on oddał dla Boga, — Za to ukochaj go, Matuchno droga. — I Matką bądź mu zawsze i wszędzie, — Bo on braciszkiem mym odtąd będzie!...

M. Boska (*przytula chłopczyka*): Chodź tu malutki, przytul główkę swoją, — Odtąd jam Matką, Opiekunką twoją, — Bo kto ukocha To Dzieciątko Boże, — Temu ja serce me zaraz otworzę. — I kochać będę, jak to własne Dziecię, — I strzec go będę w tem życiu na świecie, — A kiedy skończy mu się ziemska droga, — Wtedy go wezmę, zaniosę do Boga. — I kochać będę poprzez wieczność całą, — Duszyczkę czystą, duszyczkę tę białą!...

(*Aniołkowie i dzieci otaczają Dzieciątko Jezus i Matkę Boską i śpiewają razem na nutę „Bóg się rodzi"*):

Oddajmy Jezusowi
Serduszka nasze całe,
Niechaj wiernie służą Jemu,
Zawsze czyste, zawsze białe.

Niech On ich Panem będzie,
Niechaj Sam kieruje niemi,
Aby zawsze, aby wszędzie,
Pozostały niewinnemi.

Henrietta Ciecierska

Czy wyrosłam choć troszeczkę?
Ciocie przecież powiedziały,
Że od wczoraj aż do dzisiaj
Gdzieś przeleci roczek cały...

Cały roczek sobie minie
I nie trzeba na to sprytu...
Ja myślałam, że wyrosnę
Chyba, chyba do sufitu!

Ja myślałam, że mamusia
Do maszyny zaraz siędzie
I córeczce po kolei
Wszystkie suknie zdłużać będzie.

A tymczasem gdzie tam, gdzie tam,
Ani trochę nie za krótkie,
Nie chce mi się oczom wierzyć,
Że mam rączki tak malutkie.

O suficie już nie marzę,
Klamki nawet nie otworzę...
Może „Nowy Rok“ zapomniał?
Lub się, idąc, zgubił w borze...



Czy wyrosłam choć troszeczkę?

Albo przyszedł Nowy Roczek,
Ale brzydki, nic nie warty!
Albo może to lusterko
Takie ze mnie stroi żarty?

Albo może to samemu
Człek nie widzi zmiany w sobie?
Czy wyrosłam choć troszeczkę?
Może która z was mi powie!...

S. M. T.

PRZYGODY PANA BAŁWALIŃSKIEGO.

— Na śnieg, na śnieg!

Gromada chłopców wybiegła na plac szkolny i wśród gwaru i śmiechu zaczęła ubijać w czerwonych, zziębniętych rączętach małe kulki śniegowe.

Władek pierwszy trafił Janka w starą czapczynę i zrzucił ją na śnieg.

— Ej, Władek, masz za to! — i Jankowa kula przeleciała koło Władka, trafiając na schylone plecy Romka. Władek odpowiedział śmiechem, a Romek, oburzony, pospiesznie ubijał swoją kulę śniegową.

Zawrzała bitwa. Białe pociski latały w powietrzu, spadały na ziemię lub rozpryskiwały się na wszystkie strony, uderzywszy z siłą o ścianę gmachu.

Franek nie brał udziału w walce. Zaczął toczyć po kleistym śniegu swoją maleńką kulkę, która rosła i rosła... Była już tak wielka, że Franek musiał ze wszystkich sił ją popychać, aż wreszcie stanął zmęczony, aby odpocząć i rozetrzeć skostniałe ręce.

Nagle wśród wesołej gromadki odezwał się głos:

— Patrzcie, patrzcie! Franek robi bałwana! Chodźmy pomóc!

Rzucili się chłopcy do wielkiej kuli Frankowej, inni zabrali się do utoczenia nowych kul, potrzebnych do zrobienia bałwana i wkrótce wszystko było gotowe.

Postawiono na większej kuli mniejszą, na niej jeszcze mniejszą, zaznaczono ręce, a Władek włożył dwa węgielki zamiast oczu, dwa patyki zamiast ust i nosa, kij do ręki — i bałwan stanął w całej swojej piękności.

Długo bawili się chłopcy koło niego, śmiejąc się i żartując, wreszcie Władek, chcąc już iść do domu, zdjął czapeczkę, ukłonił się nisko i zawołał:

— Do widzenia, panie Bałwaliński!

— Do widzenia! Do widzenia! — zakrzyknęli chłopcy i odeszli.

Pan Bałwaliński został sam... Był tak ogłuszony krzykami chłopców, że dopiero powoli zaczął przychodzić do siebie.

— Skąd ja się tu znalazłem? — myślał — co się ze mną stanie? — Aha, spytam się tej czerwonej kamienicy, ona mi powie. — Hop! hop! proszę pani! Czy pani mogłaby mi powiedzieć, jak to było z mojemi narodzinami?

— O niemądry bałwanie! Co ty sobie myślisz? Czy przypuszczasz, że ja, wielka kamienica, będę rozmawiała z takim malcem? Spytaj się drugiego bałwana!

Ale na podwórzu był tylko jeden pan Bałwaliński.

Tymczasem wróble usiadły na dachu i śmiały się z niego.

— Ćwier, ćwier, panie bałwanie, czy jadłeś już śniadanie? Ćwier, ćwier...

Pan Bałwaliński nie odpowiadał na te zaczepki, bo wiedział, że wróbli nikt nie przegada.

Nagle rozległo się na dachu:

— Kra! kra! patrzcie-no na bałwana, kra! kra! — Widziałam już we wsi takiego stracha.

Pan Bałwaliński nadstawił uszu.

— Proszę pani, czy pani widziała kogoś podobnego do mnie?

— Kra, kra — odpowiedziała wrona i odleciała.

— Co za wychowanie! — pomyślał pan Bałwaliński — kra, kra, ona myśli, że ja to rozumiem! Dobra sobie! No, dowiedziałem się przynajmniej, że we wsi, może gdzie niedaleko, jest także bałwan. Muszę się z nim zobaczyć. Ale jak to zrobić?...

I pan Bałwaliński zatonął w myślach. Na podwórzu zaległa cisza, a szary zmrok otulił ziemię.

Nagle dały się słyszeć ciche kroki i ukazała się olbrzymia postać. Był to naprawdę olbrzym w wysokiej, spiczastej czapce, biało-śnieżnym płaszczu. Brodę miał z sopli lodowych długą po pas, w lewej ręce trzymał koszyk, w prawej pendzel. Podchodził do każdego okna i malował na szybach śliczne kwiaty i gałązki.

— Oho, stary Mróz przyszedł, by wykonać swoją codzienną robotę — pomyślał pan Bałwaliński. — Trzeba się go spytać o nowiny.

Mróz spostrzegł bałwana i zapytał pierwszy:

— Jakże zdrowie waszmości? Czy się panu nie przykrzy na tem ciasnem podwórku?

— Dziękuję za troskliwość. Jestem zdrów i właśnie dlatego przykrzy mi się bardzo, bo nie mam z kim porozmawiać, lub pójść na przechadzkę.

— Dobre sobie! skądże można mieć towarzystwo, jak się stoi w miejscu? Radzę wybrać się w drogę, znaleźć drugiego bałwana i zaprzyjaźnić się z nim. Trochę odwagi panie Bałwaliński!

Pan Bałwaliński zadrżał ze strachu. Iść samemu w ciemną noc! Brrrr... Brrr... Ale cóż robić? Pan Bałwaliński ruszył się ciężko z miejsca. Głowa ledwo trzymała się szyji, a zamiast nóg miał wielką kulę, ale na szczęście noc czarna uśpiła ludzi i okryła cały świat, więc nikt nie śmiał się z pana Bałwalińskiego, który powoli zbliżał się do bramy. Stary Mróz otworzył ją i wypuścił bałwana na szeroką drogę, wiodącą w jednym kierunku do miasta — w drugim na wieś. Pan Bałwaliński zwrócił się ku polom.

— Żeby też znaleźć kogoś podobnego do mnie — myślał, idąc po zasypanej śniegiem szosie.

Nagle w oddali rozległ się dzwonek jadących sanek.

— Trzeba uciekać!

Pan Bałwaliński skręcił w bok, chcąc przeskoczyć przez rów i schować się za drzewem, ale ledwo stoczył się biedaczyna w dół i z cichym jękiem usiadł na dnie rowu. Sanki przejechały obok, nie wiedząc, co się stało. Nikt nie przyszedł biedakowi z pomocą. Pan Bałwaliński starał się podnieść, ale zgubił jedno oko, więc wiele czasu stracił nim je odnalazł i wsadził z powrotem. Nogi oblepiły się śniegiem, więc były jeszcze cięższe, niż przedtem; na szczęście w rowie leżał jakiś kij, więc wziął go do lewej ręki, a w prawej trzymał swoją dawną laskę i tak podpierając się, posuwał się naprzód.

— Hau, hau — rozległo się koło drogi.

— Brrr, pies — westchnął pan Bałwaliński i ściskał mocno swoje kije.

(C. d. n.). *A. Crucsy.*

ŚNIEG.

Śnieżek, śnieżek pada biały
I pokrywa świat już cały
Biały lekki puch...
Z góry, z góry ciągle pada
Drobnych płatków tych gromada,
Niby biały duch!...

Krążą, krążą wciąż w przestrzeni,
Słońce w nich się srebrem mieni,
Całe iskrzą się!...
Kręcą, kręcą się, wirują
I z wietrzykiem dokazują
Białe śnieżki te!...

Alina Kwiecińska.

O JEDNEJ BARDZO SAMOTNEJ TARNINIE.

Była sobie raz tarnina bardzo samotna. Naokół nie widać było nic, tylko białe ośnieżone pola ze sterczącemi gdzie niegdzie szaremi badylami łopianów, ostów i innych chwastów. Tarnina nie wyglądała przystojniej od nich. Odarta z liści, czarna, najeżona kolcami, wyciągała ku niebu swe gałązki, jakby z prośbą o miłosierdzie i przebaczenie.

Oj, bo miała za co pokutować!

Wspominała teraz z żalem całe swe życie: cudne dni wiosny, gdy w swej białej sukience stała jakby niewinność i dobroć sama. Dziecko, pozostawione przez matkę pracującą w polu, przybiegło do cudnego krzaczka i sięgnęło po białe kwiatuszki. Wnet cofnęło z płaczem rączkę poranioną o ostre kolce. Niedobra tarnina śmiała się wówczas: „dobrze ci tak, po co ci się zachciewa cudzej ozdoby“.

W lecie, kózka roztrzepana, nie dosłyszawszy przestróg doświadczonej mamusi, chciała uraczyć się zielonemi listeczkami. I znów z bekiem uciekła, ocierając podrapaną mordkę o matczyne futerko. Nie lepszą była tarnina i dla owadów, które przecież zapylały jej kwiatki. Zawarła przyjaźń z dzierżbą-srokosz, a gdy ten okrutny ptak nabijał na jej kolce żywe jeszcze gąsienice i muszki, trzepoczące się boleśnie, to nielitościwa tarnina wypominała im ich winy: niszczenie drzew, kwiatów i owoców, objadanie liści itd. itd.

Nic więc dziwnego, że z czasem zasłynęła naokół swemi kolcami, ukrywanemi podstępnie.

Powoli, powoli, odsunęli się od niej wszyscy. Dumny jednak krzaczek, szczycący się swą zielenią, wcale o to nie dbał.

— Nie potrzebuję ich przyjaźni — mówił wyniośle, choć w głębi bolał nad swem osamotnieniem.

Ale wiosna, lato, ba! jesień minęła... Opadły zielone listeczki, a pod niemi już nieokryte niczem, ukazały się brzydkie, sterczące złowrogo kolce.

Jakże żałowała teraz tarnina zwej twardości dla drugich — jak rada byłaby naprawić zło uczynione, przysłużyć się choć jednemu stworzeniu. Ale naokół była kompletna pustka i zdawało się, że niepozorny, szary krzaczek nie może już nikogo znęcić ku sobie.

Bóg jednak dobry, który serca skruszonego nie odrzuca nigdy, sprawił inaczej. Ze smutnych rozpamiętywań obudził tarninę dnia jednego wesoły świergot:

— Dzień dobry pani dobrodzice, ależ mróz gracki - zaświergotał mały, rezolutny wróbelek, skacząc „na rozgrzewkę“ po śnieżnym puchu.

— A tu i o śniadanie coraz trudniej, dodał ciszej i smutniej.

Tarninie błysnęła myśl szczęśliwa. Miała jeszcze na swych gałązkach resztki owoców, czarnych tarek, zwarzonych mrozem, pomarszczonych i zwisających z gałązek wcałe nie apetycznie, dla wróbelka jednak to przysmak nielada.

— Gdyby nie te kolce moje, to możeby pan pożywił się mojemi owockami, ofiarowała nieśmiało i zaraz pomyślała sobie: pokłuje się i odejdzie, złorzecząc mi, jak inni. — I zrobiło jej się jeszcze smutniej. Ale kolce były niebezpieczne, dopóki je ukrywała pod listkami, teraz, gdy sterczały zdaleka, łatwo je było ominąć. To też wróbelek na przestrogę tarniny odpowiedział ze śmiechem:

— Toby dopiero wstyd był, aby taki stary, mądry wróbel, dał się pokłuć o ciernie tarniny! — Sfrunął radośnie na gałązki samotnego krzaczka, racząc się do syta trochę cierpkiemi, ale pożywnemi tarkami. Nasionka małe, porzucone przez ptaszka, otuliła w swych objęciach troskliwa matka-ziemia, nagradzając tarninie jej dobry uczynek. *M. S.*

SZCZĘŚCIE HANKI.

Zima! Taka prawdziwa zima, że strach wyjść na ulicę, bo wydaje się, że lodowaty wiatr porwie człowieka i zgubi go w wirze białych, puszystych płatkow. A cudne, djamentowe gwiazdki lecą, lecą i coraz więcej ich na ziemi.

— Hanuś, nie pójdziesz przecież nigdzie w taką pogodę — niania zmarznie, ciebie śnieg zasypie — a ja nie dam królowej Zimie mojej jedynej córeczki!...

— Puść mnie mamuśko puść! to jest blisko i zaraz wrócimy. Muszę sobie dzisiaj kupić tę lalkę, którą oglądałyśmy wtedy! Niania mówiła, że to szczęście przynosi, gdy się coś kupi przed Nowym Rokiem, a ona się zna dobrze!...

Hanka nie czekała już odpowiedzi mamusi, lecz zaczęła szybko wciągać kalosze, potem futerko i za chwilę była gotowa do wyjścia na miasto.

Tuż za progiem ogarnęła je śnieżna wichura; ulice wyglądały jak w bajce; różnokolorowe blaski padały od latarni i rozszczepiały się w wirze płatków na mnóstwo tęczy, których barwy mieniły się wszelkiemi odcieniami, łączyły, rozdzielały, aż dopóki nie przesłoniła tego cudnego obrazu nowa fala śniegowa i znowu powtarzało się tosamo, tylko coraz inaczej drgały w powietrzu płatki.

Hanka zawsze lubiła patrzeć na to, co działo się na dworze; ale tak, jak dzisiaj, to chyba nigdy jeszcze nie było! Aż jej oczęta pociemniały, gdy śledziła ruchy śniegowych płateczków, lecz nie mogła nadążyć za niemi. Dopiero niedaleko od sklepu przypomniała sobie, że przecież wyszła kupić lalkę, tak dawno upragnioną. Wprawdzie na gwiazdkę dostała, jak mówił Stach, jakąś „pałubę“ (on zawsze lalki nazywał nieładnemi słowami!), ale nic nie była podobna do tamtej w sklepie. Hanka miała już wszystko obmyślone: lalka będzie się nazywała Lucia, będzie mieszkała w wózku dawnej Anielki, której „dżok“ zupełnie „niechcący“ odgryzł rękę i wyrwał połowę czupryny; będzie nosiła sukienki po Rózi — chyba będą dobre... może troszkę za długie, ale skrócić łatwo. I tak przez całą drogę snuła Hanka różne projekty co do tej kochanej, przyszłej Luci. Chyba nigdy niczego nie pragnęła tak go-

rąco, jak tej właśnie lalki. Taka śliczna i chociaż jedna będzie Lucia!...

Bo dotąd to zawsze tak się coś stało, że trzeba było nazwać albo Rózią, albo Anielką, „na pamiątkę mamusi i niani“ — ale teraz już można dać imię, jakie się chce.

I znowu ruchliwe myśli dziewczynki biegną do domu, do maleńkiego, własnego pokoiku. Gdzie też posadzić Lucię, żeby jej dobrze było?

Nareszcie zatrzymują się przed sklepem; jeszcze raz Hanka musi obejrzeć te piękne rzeczy. Zbliża się do szyby wystawowej, a tu — stoi dziewczynka. Kto ona? Jest bardzo biednie ubrana; szary, zniszczony płaszczyk ledwie ją chroni od zimna, buciki połatane, rączki zmarznięte. Ale ona tego widocznie nie czuje, może zapomniała na chwilę o swej biedzie, bo oczy jej jaśnieją, jak dwie gwiazdy.

Hanka podnosi główkę; czyż to możliwe? — ta obca, uboga dziewczynka wpatruje się z zachwytem w jej ukochaną Lucię. No, ale niema strachu, nie kupi, bo zbyt biedna!

Tymczasem chwile mijają, niania nagli, by wejść do sklepu, bo panieneczka zamarznie — a w serduszku Hanki dzieje się coś dziwnego. W oczach stają łzy... wyrzec się Luci, — za nic! Więc odejść, kupić sobie lalkę, wrócić do swego ciepłego, kochanego gniazdka w domu, a przed tą obcą, biedną dziewczynką zgasić jedyne może światełko radości — a potem śpiewać swobodnie kolędy przy choince Maleńkiemu Dzieciątku...

— Słuchaj, chcesz kupić tę lalkę, że tak patrzysz? — pyta Hanka drżącym głosikiem.

— Oj, nie! Tylko myślę, jakie szczęśliwe te dzieci, które mają mamusię i taką lalkę od niej na gwiazdkę dostały.

Boże, to ona nawet mamusi nie ma! Co to za dom — bez mamusi! Teraz Hanka nie waha się już wcale.

— Ja mam tyle pieniędzy, ile kosztuje lalka — kup sobie ją. A nie zapomnij, żeby była Lucia!

Spełniły się słowa starej niani, która „dobrze się zna“. — Naprawdę to szczęście przynosi kupować przed Nowym Rokiem! Hance przyniosło to aż dwa wielkie szczęścia... *M. R.*

MODLITEWKA PRABABCI.

Gdy byłam maleńka, ogromnie cieszyłam się na wakacje, bo jeździliśmy wówczas do prababci.

Prababcia miała całkiem białe włosy i mieszkała w wielkim dworze na wsi.

Dwór otoczony był ślicznym ogrodem, pełnym kwiatów i cienistych drzew, ale najprzód prowadzili mię rodzice do prababci. Bo prababcia od wielu lat wcale już chodzić nie mogła, tylko siedziała zawsze w wielkim skórzanym fotelu przy oknie. Wszystko mię we dworze prababci zachwycało, ale najbardziej lubiłam, gdy prababcia zawołała mię do siebie.

Siadałam wówczas na małym stołeczku a prababcia uczyła mię starej modlitewki:

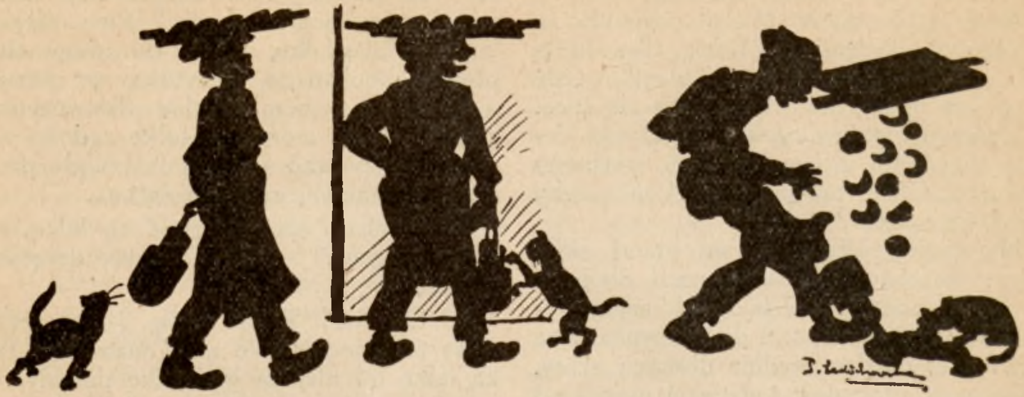
Stwórco, z wszystkich cnót co Cię otaczają w niebie,
Wszak niewinność najbliżej stoi koło Ciebie.
Tej więc wzywam, niech z prośbą mą przed Tobą stanie,
Daj za największe szczęście: Ciebie ukochanie.

Daj rodzicom mym, co mi wwszystkiem są na ziemi
Zdrowie, bym się najdłużej cieszyć mogła z niemi.
Ochroń kraj od złej doli, gdziem się urodziła,
Wszak słusznie, bym Cię za mą kolebką prosiła.

Dla siebie nic nie żądam; lecz chcąc Cię być godną
Proszę o skromność, grzeczność i postać łagodną.
Słowem — taką mię naznacz Twej opieki cechą,
Bym była ludziom miłą, rodzicom pociechą. Amen.

Powtarzałam za prababcią uważnie słowo po słowie, a prababcia opowiadała mi, jak to było wtedy, gdy moja babcia jeszcze była taka mała, jak ja teraz. I mówiła mi: „Wiele, bardzo wiele lat temu, byłam jeszcze młoda jak twoja mamusia, uczyłam twoją babcię tej modlitewki. Potem, kiedy posiwiałam, uczyłam jej twoją mamusię i teraz, choć już chodzić nie mogę, dziękuję Panu Bogu, że mi pozwolił ciebie uczyć jej także. — Pamiętaj, nie zapomnij odmawiać jej nigdy“!... *S.*

KONKURS POWIASTKOWY.



Za ładnie napisaną powiastkę, objaśniającą wyżej podane obrazki i przysłaną przed 1-szym lutym 1928 — liczymy 10 punktów.

DO CZYTELNICZEK!

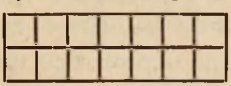
Zapraszamy do wytrwałej pracy od Nowego Roku!

Kto wszystko odgadnie
I napisze ładnie,
Za dwa miesiące
Nagrodę dostanie — to jasne jak słońce...

ŁAMIGŁÓWKI.

TYLKO OSTROŻNIE Z ZAPAŁKAMI!

Macie tutaj ułożone zapałki.



Odejmijcie 18 zapałek tak, aby pozostawione utworzyły imię dziewczynki.

SZARADA.

Pierwsza! Dzieci uważajcie
I cichutko mnie słuchajcie!
Trudna druga — trzecia z temi
Dziewczynkami nieznośnemi!
Nawet kotka pierwsza druga
Gniewnem okiem na was mruga...
No, gromadko utrapiona,
Moja wszystka już skończona!

ZAGADKA

ułożyła Urszulka Dylska.

To nie jest nowina,
Że zna mnie rodzina,
A także me krótkie miano
Miastu i rzece nadano.

TREŚĆ:

Warunki prenumeraty „Mojego Światka“ od 1. września 1927 do dnia 1. stycznia 1928 zł. 1·50. Dla prenumeratorek „Dziś i Jutro“ zł. 1·20. Numer pojedynczy 20 groszy, dla prenumeratorek „Dziś i Jutro“ 15 groszy. — Kto pragnie nadal otrzymywać „Mój Światek, niech nadeśle prenumeratę!

Adres Redakcji: Kraków, Starowiślna 3.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor:
Julja Felicja Bronikowska.
Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie.